

Przyjrzawszy się baczniej dostrzegąło się zmarszczki na jego twarzy i siwiznę we włosach, mimo to można było jego i Mikołaja wziąć raczej za dwóch braci aniżeli za ojca i syna. Wciąż jeszcze był tak samo strzelisty i smukły jak wówczas, kiedy go Szymon po raz pierwszy zobaczył, głos jego brzmiał tak samo młodzieńczo i dźwięcznie, wciąż jeszcze poruszał się tak samo swobodnie i dostojnie, z owym nieco opieszalym wdziękiem w każdym ruchu. Zawsze wśród obcych zachowywał się spokojnie i powściągliwie, pozwalał raczej, aby do niego się zbliżano zamiast samemu szukać towarzystwa, i to zarówno w szczęściu, jak w nieszczęściu. Teraz zdawał się nawet nie odczuwać, że nikt nie szuka jego towarzystwa. A cały krąg panów i wielkich chłopów wokoło, wszyscy, jak długa i szeroka dolina, związani i spowinowaceni z sobą ożenkami i przyjacielskim współzyciem, oburzali się na tego Trondhjemczyka, którego nieszczęście rzucało między nich, a który mimo to pysznił się swym pochodzeniem i zadzierał nosa zamiast starać się o ich przychyłość.

Przed wszystkim jednak napsuło ludziom krwi to, że z winy Erlenda popadli w nieszczęście mężowie z Sundbu. Guttorm i Borgar synowie Tronda zostali wygnani z Norwegii, należna zaś im część wielkich dóbr Gjeslingów oraz połowa dziedzicznych włości przypadły koronie. Ivar z Sundbu musiał drogo okupić pojednanie z królem Magnusem. Skoro zaś król darował otrzymane w ten sposób dobra – nie za darmo, jak wieść niosła – rycerzowi Sigurdowi synowi Erlenda Eldjarna, Ivar i Haavard, najmłodsi z synów Tronda, nie uwikłani zupełnie w tę sprawę, sprzedali również swe prawa do włości w Vaage panu Sigurdowi, który był krewnym ich oraz córek Lavransa: jego matka bowiem, Gudruna córka Ivara, była siostrą Tronda Gjeslinga i Ragnfridy z Jørund. Ivar Gjesling udał się do Toten na dwór, który mu żona wniosła w posagu. W ten sposób zabezpieczył swym dzieciom rodzinny dom tam, gdzie była ojcowizna i dziedzictwo matki. Haavard miał prócz tego wielką posiadłość, ta jednak leżała w Valdres, przez swój ożenek zaś otrzymał również spore obszary w okręgu Borge. Ale mieszkańcom Vaage oraz dworów położonych dalej na północ zdawało się okropnym nieszczęściem, iż stary ród lennych panów,

zasiedziały i rządzący doliną Vaage odkąd pamięć ludzka sięgała, opuścił Sundbu.

Krótko tylko pozostawało Sundbu w rękach Erlenda Eldjarna z Godaland w Agder, wiernego lennika króla Haakona. Gjeslingowie nie byli nigdy przyjaciółmi króla Sverrego i jego rodu i przyłączyli się do księcia Skulego, kiedy ten ze swoją drużyną podniósł bunt przeciw Haakonowi. Lecz Ivar Młodszy otrzymał z powrotem Sundbu przy podziale dziedzictwa z Erlendem Eldjarnem i wydał za niego swą najstarszą córkę, Gudrunę. Syn Ivara Trond nie przyniósł zaszczytu swemu rodowi. Ale jego synowie byli piękni, mili i odważni, toteż ludzie wielce żałowali, iż przyszło im utracić ojcowski dwór.

Zanim jeszcze Ivar opuścił dolinę, wydarzyło się nieszczęście, z powodu którego ubolewano jeszcze bardziej nad niepowodzeniem Gjeslingów. Guttorm nie był żonaty, ale młoda małżonka Borgara żyła po wygnaniu męża nadal na Sundbu. Dagny córka Bjarnego była zawsze trochę nieporadna i okazywała jawnie, że ponad miarę miłuje swego męża – Borgar był piękny, ale nieco lekkich obyczajów. Zimą po jego wygnaniu Dagny utonęła w przereźblu zamrożonego jeziora. Mówiono o nieszczęśliwym wypadku. Ale ludzie wiedzieli doskonale, że ze smutku i tęsknoty pomieszał się jej rozum, i wszystkim serdecznie żal było pocziwej, miłej i pięknej kobiety, która tak straszną poniosła śmierć. Wskutek tego jeszcze bardziej wzrosła złość na Erlenda, bo to on przecież wszystkiemu był winien, to on w takie nieszczęście wepchnął najlepsze rodziny z okolicy. Zaczęto znowu odgrzebywać stare historie, przypomniano sobie, jak Erlend postąpił wówczas, kiedy miał poślubić córkę Lavransa. Tak, tak, wszak i ona sama pochodziła również z Gjeslingów przez matkę.

Nowy pan na Sundbu nie był lubiany, choć nic nie można było zarzucić Sigurdowi; lecz pochodził z południa Norwegii, a jego ojciec, Erlend Eldjarn, ściągnął na siebie w tej części kraju nienawiść każdego, z kim miał do czynienia. Krystyna i Ramborga nie znały wcale tego krewnego. Szymon znał pana Sigurda z Raumarike, był on bowiem blisko spokrewniony z synami Haftora, ci zaś byli spokrewnieni z żoną Gyrda Darre.

Ze jednak sprawy wzięły teraz taki obrót, Szymon unikał, jak mógł, spotkania z rycerzem. Nie miał teraz bynajmniej ochoty zaglądać na Sundbu: synowie Tronda byli miłymi przyjaciółmi, Ramborga i żony Ivara i Borgara odwiedzały się co roku. Poza tym Sigurd był o wiele starszy od Szymona, był to człowiek blisko sześćdziesięcioletni.

W trudnym położeniu, w jakim już i tak znajdowali się Erlend i Krystyna, wystarczyło owo małżeństwo rządcy, chociaż samo przez się bez większego znaczenia, aby pogorszyć ich sytuację – tak zdawało się Szymonowi. Zazwyczaj nie zwracał się do żony mając do pokonania jakieś trudności lub przeszkody. Teraz jednak nie mógł się powstrzymać od mówienia z nią o tych rzeczach. Ze zdumieniem, ale zarazem z radością zobaczył, jak rozumnie mówi Ramborga o tym i jak pięknie stara się wszelkimi siłami pomóc, gdzie się tylko da.

Przebywała obecnie znacznie częściej niż dotąd u siostry na Jørund, nie odnosiła się do Erlenda z taką niechęcią jak przedtem. W dzień Bożego Narodzenia, kiedy po mszy spotkali się wszyscy na wzgórzu kościelnym, Ramborga ucałowała nie tylko Krystynę, ale i szwagra. A przecież dawniej wyrażała się zawsze z takim przekąsem o tych cudzoziemskich manierach, o tym, że Erlend całował na powitanie świekrę i o podobnych zwyczajach.

Kiedy Szymon ujrzał, jak Ramborga zarzuca Erlendowi ręce na szyję, wstrząsnęła nim myśl, że i on mógłby tak samo uczynić z Krystyną. Ale czuł zarazem, że nie mógłby tego zrobić. Nie przejął przecież nigdy zwyczaju całowania krewniaczek; zaraz przy pierwszej próbie, gdy był jeszcze królewskim paziem, matka i siostry wyśmiały go.

Podczas biesiady świątecznej na Formo Ramborga wyznała młodej żonie Ulfa poczesne i szaczytne miejsce i okazywała zarówno jemu, jak też i jej wszelkie należne młodzieżom honory. Potem sama przybyła na Jørund i pomagała przy porodzie Jardtrudy.

Było to w miesiąc po Bożym Narodzeniu, dwa miesiące przed czasem, i chłopak urodził się nieżywy. Jardtruda zach-

wywała się teraz jak opętana; gdyby przypuszczała, że sprawa weźmie taki obrót, nigdy w życiu nie poślubiłaby Ulfa. Ale już się stało i odstać się nie mogło.

Co sądził Ulf o tym wszystkim, nie wiedział nikt, nic bowiem nie mówił.

Na tydzień przed śródpościem Erlend syn Mikołaja i Szymon syn Andrzeja udali się konno na południe do Kvam. Lavrans do spółki z paru innymi chłopami zakupił tam na kilka lat przed śmiercią niewielki dwór. Poprzedni właściciele chcieli teraz odkupić dwór z powrotem, powstała jednak pewna niejasność co do tego, jak załatwiono swego czasu sprawę prawnego zastrzeżenia odkupu oraz czy krewni sprzedawców udowodnili dostatecznie swe prawa. Przy podziale spuścizny po Lavransie wydzielono jego część z tego dworu wraz z paru innymi małymi posiadłościami, przy których mogłyby powstać jakieś wątpliwości, i siostry dzieliły się tylko dochodami z tych dóbr. Dla uregulowania owych spraw pojechali teraz obaj zięciowie Lavransa zamiast swych żon do Kvam.

Ludzi zebrano się sporo, a ponieważ żona i dzieci dzierżawcy chorowały, musieli przeto zadowolić się szopą, w której odbyło się zebranie. Szopa była zrujnowana i nieszczelna, siedzieli więc wszyscy w futrach. Każdy miał broń pod ręką i miecz u pasa, nie zamierzali bowiem pozostać tu ani chwili dłużej, aniżeli wymagała potrzeba. Ale musieli przecież coś zjeść przed odjazdem do domu, koło południa zatem, kiedy ukończyli właściwe obrady, każdy wydobył swą sakwę z zapasami i posilali się w pośpiechu, gdzie popadło, stołu bowiem nie było w szopie.

Zamiast proboszcza z Kvam zjawił się jego syn, Holmgeir syn Mojżesza. Był to człek młody, zaniedbany, ogólnie nie lubiany, w zupełności nie zasługujący na zaufanie. Jego ojciec jednak był wielce szanowany, a matka wywodziła się z zacnego rodu; poza tym Holmgeir był chłopem silnym i krewkim, w gorącej wodzie kąpanym, dlatego nikt nie ważył się zadzierać z nim, a niektórzy uważali, że jest dowcipny i ma obrotny język.

Szymon znał go pobieżnie, jego wygląd nie podobał mu się zgoła. Holmgeir miał długą, wąską twarz, bladą i piegowatą,

a górna warga była tak krótka, że odsłaniała przednie zęby, wielkie i żółte niby u szczura. Lecz sirą Mojżesz był dobrym przyjacielem Lavransa, sam Holmgeir zaś, zanim go ojciec przyjął do swego rodu, żył przez dłuższy czas na dworze Jørund ni to jako pacholek, ni to jako wychowanek; Szymon więc odnosił się do niego zawsze uprzejmie.

Holmgeir zatoczył jakiś pniak do ognia, usiadł na nim, nabijał na swój sztylet pieczone drozdy ze słoniną, w które się zaopatrzył na drogę, i odgrzewał jednego po drugim nad ogniskiem. Był niedawno chory i dlatego na czternaście dni został zwolniony od postu; opowiadał to innym, którzy siedzieli i żuli suchy chleb z zamarznąłą rybą, podczas gdy rozkoszna woń smakołyków Holmgeira łechtała im podniebienie.

Szymon był w złym humorze, nie tyle gniewny, ile raczej w markotnym usposobieniu. Cała sprawa dotycząca owych posiadłości była bardzo trudna i zawiła, a listy, które miał od teścia, nie były bynajmniej jasne; na wyjeźdnym z domu sądził niemal, że doszedł ostatecznie do ładu porównując inne dokumenty z tymi listami. Skoro jednak tu na zgromadzeniu posłyszał zeznania świadków i kiedy przedłożono znów inne pisma, musiał dojść do wniosku, iż jego pogląd nie da się utrzymać. W każdym razie żaden z zebranych mężów nie rozeznawał się lepiej w tej gmatwaninie, nie wyłączając lennika wójta, który był również obecny. Mówiono już o tym, że trzeba będzie sprawę tę przedłożyć na thingu, gdy nagie Erlend zabrał głos i prosił, by mu pokazano listy.

Dotychczas siedział tylko i słuchał, zupełnie jakby go ta cała rzecz nie obchodziła. Teraz dopiero zdawał się budzić. Uważnie przeczytał wszystkie listy, niektóre nawet po kilkakroć. Potem dał wyjaśnienie, krótko i węzłowato: tak a tak brzmią słowa ustawy i tak a tak są zazwyczaj wykładane; niejasne i zawiłe zwroty w listach muszą znaczyć to lub tamto; o ile sprawa przedstawiona zostanie na thingu, będzie rozsądzona tak albo owak. Potem przedstawił rozwiązanie, które mogło zadowolić dawnych właścicieli, a zarazem nie było niekorzystne dla obecnych.

Mówiąc podniósł się, oparł lekko lewą rękę na rękojeści miecza, w prawej zaś trzymał dość nieuważnie zwój listów. Zachowywał się tak, jak gdyby on przewodniczył zebraniu, ale Szymon wiedział, że Erlend czyni to nieświadomie. Był przecież przywykły powstawać tak i przemawiać, kiedy prowadził któreś z wójtowskich zebrań w swym okręgu, i teraz zwracając się do jednego lub drugiego z pytaniem, czy sprawa tak wygląda, czy pojmują, co im objaśnia, stawiał pytania tak, jak gdyby przesłuchiwał świadków – wprawdzie grzecznie, ale w taki sposób, jakby jego rzeczą było pytać, a rzeczą innych odpowiadać. Kiedy skończył, wręczył listy lennikowi wójta, zupełnie jakby ten był jego podwładnym, po czym usiadł i przysłuchiwał się, kiedy inni, między nimi także Szymon, zabierali głos i wypowiadali swoje poglądy, ale ciągle tak, jakby jego samego to nie dotyczyło. Gdy któryś z mężów zwrócił się do niego wprost, odpowiadał krótko, jasno, dobitnie, w przerwach zaś zeskrobywał paznokciem tłuste plamy ze swego kaftana, poprawiał pas, bawił się rękawicami i zdawał się z niecierpliwością czekać, rychło zebranie się skończy.

Inni przyjęli porządek podany przez Erlenda i Szymon mógł być ostatecznie z tego zadowolony; wnosząc skargę na thingu nie uzyskałby nic więcej.

Ale humor mu się zepsuł. Jemu samemu wydawało się dziecinne gniewać się o to, że szwagier, a nie on, utrafił w sedno rzeczy. Było wszak zrozumiałe, że Erlend lepiej wykladał ustawy i lepiej rozeznawał się w niejasnych pismach, gdyż przez całe lata urząd jego polegał właśnie na tym, aby ludziom objaśniać prawo i roztrząsać zawile spory. Ten obrót rzeczy był jednak zgoła niespodziewany dla Szymona: nie dalej jak wczoraj wieczór, kiedy na Jørund mówił z Erlendem i Krystyną o tym zebraniu, Erlend nie wyraził żadnego zdania; słuchał ledwie jedynym uchem. Pewnie, Erlend musiał być biegłyjszy w prawie aniżeli zwykli chłopci, ale kiedy tak siedział i z obojętną życzliwością udzielał innym wyjaśnień, miało się niemal wrażenie, że jego samego prawo nie dotyczy w najmniejszym stopniu; Szymon zaczął niejasno uświadamiać sobie, iż Erlend nigdy,

w najmniejszym stopniu nie kształtował własnego życia na modłę prawa.

A potem również osobliwe było to, że bez żadnego zakłopotania powstał i przemawiał. Musiał przecież zdawać sobie sprawę, że to skieruje myśli wszystkich obecnych na to, kim był niegdyś i jakie zajmuje dziś stanowisko. Szymon czuł, że wszyscy myślą o tym; wielu gniewnych było na tego człowieka, który zupełnie jawnie nie dbał o to, co o nim sędzono. Ale nikt się nie odezwał. A gdy siny z zimna pisarz, którego lennik wójta przywiódł ze sobą, usiadł i wziął pulpit na kolana, zwracał się wciąż do Erlenda, a on dyktował mu, co ma pisać, bawiąc się jednocześnie żdźbłami słomy i okręcając je na kształt pierścienia wokół swych długich palców. Kiedy pisarz skończył, podał Erlendowi pergamin; ten wrzucił słomiany pierścień w ogień, wziął dokument i czytał półgłosem:

– „Wszystkim mężom, którzy by widzieli lub którym by odczytywano to pismo, ślą Szymon syn Andrzeja z Formo, Erlend syn Mikołaja z Jørund, Vidar syn Steina z Klaufastad, Ingemund i Toralde synowie Bjørna, Bjørn syn Ingemunda z Lundar, Alf syn Einara, Holmgeir syn Mojżesza pozdrowienie Boże oraz własne”. Macie tam wosk w pogotowiu? – rzucił w stronę pisarza chuchającego w skostniałe palce. – „Niechaj wam będzie wiadomo, iż my wszyscy w roku Pańskim tysięcznym trzechsetnym trzydziestym ósmym zeszliśmy się w piątek przed niedzielą śródpotną na Granheim w parafii Kvam...”

– Możemy użyć skrzyni stojącej w komorze zamiast stołu, Alfie – zwrócił się do lennika i wręczył list z powrotem pisarzowi.

Szymon przypomniał sobie, jaki Erlend był dawniej, kiedy żył pośród równych mu stanem. Zawsze pewny siebie i swobodny, dowcipny i zaczepny w gadaniu, a przecież ujmujący w obejściu; nie było mu wcale obojętne, co myślą o nim ludzie, których uważał za równych sobie i za swoich krewnych. Przeciwnie, przywiązywał wielką wagę do tego, by zyskać dobre imię.

Z dziwną goryczą poczuł się nagle Szymon związany z tymi chłopami z doliny, których Erlend nie szanował nawet na tyle,

by się zastanowić, co o nim sądzą. Przez wzgląd na Erlenda on sam, Szymon, poniżył się tak bardzo, przez niego zerwał z szanowanymi, bogatymi ludźmi. Owszem, miło być bogatym dziedziem na Formo – ale nie mógł zapomnieć, że odwrócił się od swych towarzyszy, krewnych i przyjaciół młodości, ponieważ zniżył się do tak błagalnej prośby wobec nich, iż nie mógł teraz obcować z nimi nadal, nie mógł wprost myśleć o tym. Przez tego szwagra wypowiedział służbę samemu królowi i właściwie wystąpił z królewskiej świty. Ale na domiar złego zdradził się sam wobec Erlenda: wspomnienie o tym gorsze było dla niego od śmierci. Erlend zaś zachowywał się wobec niego zawsze tak, jakby nic nie pojmował i o niczym nie wiedział. Mało go obchodziło to, że zburzył doszczętnie życie drugiego człowieka.

W tej chwili Erlend zagadnął Szymona:

– Musimy się już sposobić do drogi, Szymonie, jeśli chcemy jeszcze dziś wieczór powrócić do domu. Idę się rozejrzeć za końmi.

Szymon podniósł oczy i dziwna, chorobliwa niechęć ogarnęła go na widok pięknej, wyniosłej postaci szwagra. Erlend miał pod kapturem małą, czarną, jedwabną czapeczkę, opinającą szczelnie głowę i zapiętą pod brodą: w tym obramowaniu jego pociągła, smągła twarz z wielkimi, modrymi oczami głęboko w cieniu sklepionego czoła wyglądała jeszcze młodziej i delikatniej.

– Zawiąż tymczasem moją sakwę – rzucił jeszcze od drzwi, po czym wyszedł.

Pozostali rozmawiali dalej o sprawie, dla której się tutaj zeszli. Mimo wszystko to dziwne, mówili niektórzy, jak nieopatrny był Lavrans w tym wypadku; zwykle przecie wiedział dobrze, czego chce, był najbardziej doświadczonym chłopem, jeśli chodziło o kupno lub sprzedaż gruntów.

– Z pewnością mój ojciec ponosi tutaj winę – przypuszczał Holmgeir syn proboszcza. – Sam powiedział dzisiaj rano, że gdyby był wówczas posłuchał Lavransa, wszystko byłoby w największym porządku. Ale wiecie przecież, jaki był Lavrans w tych rzeczach; w stosunku do księży był zawsze potulny i posłuszny niczym jagniątko.

– Jednak o swoje korzyści na Jørund umiał dbać bardzo dobrze – wtręćili niektórzy.

– Pewnie, bo mógł to czynić także idąc za księżą radą – rzekł Holmgeir ze śmiechem. – Bardzo to roztropnie nawet w doczesnych rzeczach, dopóki nie ma się ochoty na ten sam kasek, na który i Kościół jest łasy.

– Lavrans był niezwykle pobożny – oświadczył Vidar. – Nigdy nie szczędził bydła ani gruntu, kiedy szło o Kościół lub biedaków.

– Rzeczywiście – potwierdził Holmgeir w zamyśleniu. – Tak, gdybym był taki bogaty, miałbym i ja ochotę okupić sobie w ten sposób choć w części spokój duszy. Ale nigdy nie postąpiłbym tak jak on, nie rzucałbym oburącz mojego mienia i nie chodziłbym potem jeszcze z czerwonymi ślepiami i bladym licem do proboszcza, aby spowiadać się z grzechów; a Lavrans spowiadał się co miesiąc.

– Łzy skruchy są błogim darem łaski Ducha Świętego, Holmgeirze – odezwał się sędziwy Ingemund syn Bjørna. – Błogosławiony ten, który tu na ziemi płacze z powodu swych grzechów; tym łatwiej dostanie się na tamten świat.

– W takim razie Lavrans musi już od dawna być w niebie – odrzekł Holmgeir. – Pościł i umartwiał swe ciało, a w Wielki Piątek zamykał się pono na poddaszu i biczował do krwi.

– Stul pysk – rzekł Szymon trzęsąc się z oburzenia; krew uderzyła mu do głowy. Nie wiedział, czy prawdą jest to, co mówi Holmgeir. Kiedy porządkował sekretne schowki po śmierci teścia, zauważył na dnie skrzyni z książkami małą, podłużną drewnianą szkatułkę. Wewnątrz zaś leżał bicz, jaki w klasztorach zowią dyscypliną. Splecione rzemienie nosiły ślady ciemnych plam, mogła to być zaschnięta krew. Szymon spalił własnoręcznie owo biczysko, czuł przy tym trwożny szacunek i zmieszanie; zrozumiał, iż odkrył coś w życiu Lavransa, czego ten strzegł baczenie przed czymkolwiek okiem.

– Na pewno nie rozmawiał o tym ze swoimi parobkami – rzekł Szymon, kiedy wreszcie mógł się zdobyć na odpowiedź.

– Nie, to z pewnością tylko ludzki wymysł – potwierdził uступliwie Holmgeir. – Jego grzechy chyba nie były tego ro-

dzaju, by za nie aż tak srogo miał pokutować – Holmgeir skrzywił się drwiąco. – Gdybym żył tak obyczajnie i po chrześcijańsku jak Lavrans syn Bjørgulfa i gdybym był ożeniony z tą wiecznie smętną niewiastą, Ragnfridą, to raczej płakałbym z powodu grzechów, których nie popełniłem.

Szymon zerwał się i uderzył Holmgeira w twarz, aż chłopak zatoczył się w tył ku ognisku. Sztylet wypadł mu przy tym zza pasa. Holmgeir błyskawicznie schylił się i podniósł go, po czym natarł na Szymona. Szymon zasłaniając się ramieniem, przez które miał przewieszzone okrycie, chwycił napięstek Holmgeira i usiłował mu wytrącić sztylet z dłoni, synowi proboszcza udało się jednak uderzyć go parokrotnie pięścią w twarz. Wtedy Szymon chwycił obie ręce napastnika, ale młodzieniec z całej siły wbił zęby w jego dłoń.

– A, gryziesz, ty psie! – Szymon puścił go, cofnął się o parę kroków, wyrwał miecz z pochwy. Rzucił się na Holmgeira – ciało chłopca wygięło się w tył, żelazo na kilka cali głęboko utkwiło mu w piersi. Po chwili opadł ciężko i bezwładnie wprost w ogień.

Szymon cisnął miecz i chciał wyciągnąć Holmgeira z płomieni. Nagle ujrzał wznieiony do ciosu tuż nad swoją głową topór Vidara. Schylił się raptownie i, uskoczywszy w bok, porwał znowu miecz; udało mu się właśnie wytrącić oręż z ręki Alfa syna Einara, błyskawicznie obrócił się, by osłonić się powtórnie przed toporem Vidara, lecz jednocześnie ujrzał, że z boku, od strony paleniska, szykują się do natarcia synowie Bjørna i Bjørn z Lunde z nastawionymi oszczepami. Pchnął tedy Alfa przed siebie na przeciwległą ścianę, ale w tej chwili dostrzegł, że Vidar skrada się ku niemu – wyciągnął on tymczasem Holmgeira, swego stryjecznego brata, z płomieni – zaś dwóch mężów z Lunde nacierało z drugiej strony paleniska. Stał więc w środku, z wszystkich stron osaczony i wśród tego strasznego zamieszania, w którym dosyć miał zajęcia, by chronić własne życie, odczuł nagle bolesne, dziwaczne zdumienie, iż wszyscy są przeciw niemu.

W następnej chwili miecz Erlenda błysnął pomiędzy nim a mężami z Lunde. Toralde zatoczył się i oparł o ścianę. Z szyb-

kością błyskawicy Erlend przerzucił miecz do drugiej ręki i wytrącił broń Alfowi, tak że z brzękiem upadła na ziemię; jednocześnie chwycił prawicą drzewce oszczepu Bjørna i zgiął ostrze.

– Wychodź – rzekł zdyszany do Szymona broniąc szwagra przed Vidarem. Szymon zgrzytnął zębami, pobiegł na środek izby, by natrzeć na Bjørna i Ingemunda. Erlend nie odstępował go. Pośród zgiełku i szczęku broni wołał: – Precz, na dwór, ty głupcze! Marsz, ku drzwiom, musimy wyjść!

Kiedy Szymon zrozumiał, że Erlend chce wyjść razem z nim, zaczął się cofać tyłem ku drzwiom wciąż odpierając napastników. Przebiegli w ten sposób przedsionek i wreszcie stanęli na podwórzu: Szymon oddalony o kilka kroków od domu, Erlend tuż przed drzwiami, z mieczem do połowy wzniesionym, twarzą zwrócony ku nacierającemu.

Przez chwilę Szymon był jakby oślepiony. Mroźny dzień lśnił od światła i blasku, pod błękitnym niebem piętrzyły się w ostatnich promieniach zachodu złociste góry, a bór stał biały od mrozu i śniegu. Pola błyszcząły i migotały, jakby rozsypano po nich drogie kamienie.

Posłyszał głos Erlenda:

– Przez to, że jeszcze więcej ludzi straci życie, nieszczęście się nie odstanie. Musimy teraz wziąć się w garść, zacni ludzie, i położyć koniec rozlewowi krwi. Już i tak źle się stało, że mój szwagier zabił człowieka.

Szymon stanął u boku Erlenda.

– Bez powodu zabiłeś mojego krewniaka, Szymonie – rzekł Vidar z Klaufasted; stał on na czele gromady.

– Nie zginął on znowu tak całkiem bez przyczyny. Ale wiesz dobrze, Vidarze, że wam nie zbiegnę. Gotów jestem zapłacić za nieszczęście, które na was sprowadziłem. Wiecie wszyscy, gdzie mnie macie szukać.

Erlend rozmawiał jeszcze chwilę z chłopami:

– A jak się ma Alf? – Wszedł z innymi do izby.

Szymon pozostał na dworze dziwnie zmieszany. Po chwili Erlend wrócił.

– No, teraz odjeżdżamy – rzekł i poszedł w stronę stajni.

– Nie żyje? – zapytał Szymon.

– Nie. Alf, Toralde i Vidar są ranni, ale niezbyt ciężko. Holmgeir ma spalone włosy z tyłu głowy. – Erlend mówił dotąd poważnie, nagle wybuchnął głośnym śmiechem: – Teraz pachnie w szopie spalonym drożdżem sadłem, możesz mi wierzyć! Ale, do diaska, jak się to stało, że przez tę krótką chwilę takeście się poczubili? – spytał zdumiony.

Jakiś wyrostek przyprowadził im konie, żaden z nich bowiem nie wziął z sobą pachołka.

Jeszcze ciągle trzymali obydwaj miecze w ręku. Erlend wziął pęk trawy i otarł krew z ostrza. Szymon uczynił tak samo i z grubsza obtarłszy miecz wsunął go do pochwy. Erlend oczyścił swój bardzo starannie, w końcu przejechał po nim połą swej szaty. Potem wywinął nim parę młynków w powietrzu – z uśmiechem, jakby sobie coś przypomniiał, wyrzucił miecz wysoko w górę i chwyciwszy go za rękojeść wsunął do pochwy.

– Ale twoje rany... Musimy najpierw pójść do izby, to ci je opatrzę. – Szymon odrzekł, że nie ma o czym mówić.

– Ty też krwawisz, Erlendzie!

– E, o mnie nie ma strachu! Moje rany goją się prędko. U tęgich ludzi trwa to, jak zauważyłem, znacznie dłużej. I w dodatku ten mróz... A spory szmat drogi przed nami.

Erlend kazał dzierżawcy podać maść i płótno i przewiązał starannie rany Szymona. Były to dwie rany cięte na lewej piersi; krwawiły zrazu silnie, ale nie były groźne. Erlend został draśnięty oszczepem Bjørna w udo; ciężko mu będzie jechać konno, przypuszczał Szymon, ale Erlend roześmiał się: wszak ostrze ledwie przecięło skórznie. Przyłożył sobie trochę maści i owinął ranę starannie ze względu na zimno.

☞ Mróz był siarczysty. Zanim jeszcze zjechali z pagórka, na którym stał dwór, szron osiadł na koniach, a futrzane obramowania płaszczy były zupełnie białe.

– Brr! – Erlend wzdrygnął się. – Obyśmy już byli w domu! Musimy zajechać na ten dwór w dole i donieść, żeś zabił człowieka.

– Czy to konieczne? – spytał Szymon. – Mówiłem przecie z Vidarem i innymi.

– Lepiej, żebyś to uczynił – przerwał Erlend. – Zgłosisz się sam nie dając sposobności do obgadywania cię.

Słońce skryło się teraz za wzgórzem, nastał szarawy, ale jasny wieczór. Jechali wzdłuż potoku pod okrytymi szronem brzożami. Gruba warstwa ostrej, mroźnej mgły rozpostarła się w dole zapierając wprost dech. Erlend mruczał niecierpliwie pod nosem wyrzekając na długotrwałe zimno i niemiłą jazdę, jaka ich czeka.

– Nie odmroziłeś sobie chyba twarzy, szwagrze? – zaniepokojony zająknął mu pod kaptur. Tamten rozcierał sobie policzki. Nie były jeszcze odmrożone, ale podczas jazdy Szymon pobladł nieco. Wyglądał wskutek tego brzydko; jego duża, nalana twarz była jakby zwietrzała i pokrywały ją czerwone plamy, wśród których rozpościerała się szarymi wysepkami bladeść, co sprawiało wrażenie, że skóra jest brudna.

– A widziałeś już kiedy człowieka rozrzucającego mieczem gnój? – spytał Erlend; na samo wspomnienie wybuchnął grzmiecym śmiechem, pochylił się w siodle i naśladował ruchy chłopów. – Choćby ten Alf, to mi dopiero lenny pan! Gdybyś kiedy zobaczył Ulfa syna Haldora bawiącego się mieczem... Jezus Maryja!

Bawiącego się... Tak, widział przecie Erlenda przy tej zabawie. Wciąż i wciąż stawał mu przed oczyma ten obraz: on sam i tamci ludzie koło paleniska, machający mieczami jak chłopci rąbiący drzewo albo przewracający siano – a między nimi zgrabna, ruchliwa jak iskra postać Erlenda, jego szybkie spojrzenie, pewna ręka, kiedy wirował wśród nich, zaprawiony do broni, nie tracący ani na chwilę przytomności umysłu.

Minęło już dobrych dwadzieścia lat od czasu, kiedy on sam pośród młodych ludzi na królewskim dworze uchodził za jednego z najlepszych szermierzy. Odtąd jednak nieczęsto nadarzała się sposobność wypróbowania rycerskiej sprawności.

Jechał i czuł się do głębi serca chory, ponieważ zdarzyło mu się nieszczęście, że zabił człowieka: wciąż jeszcze widział wygięte ciało Holmgeira zsuwające się z miecza w ogień, wciąż

jeszcze brzmiały mu w uszach jego krótkie, charczące jęki śmiertelne, bez ustanku wracały poszczególne obrazy krótkiej, ale zażartej walki. Czuł się zgnębiony i zmieszany: w mgnieniu oka rzucili się na niego wszyscy – wszyscy ci ludzie, z którymi się szczerze żył i całą duszą był związany; obronił go jeden Erlend.

Nigdy nie uważał się za tchórza. Sześć niedźwiedzi położył od czasu, gdy mieszkał na Formo, dwukrotnie narażając przy tym nieopatrnie życie. Naprzeciw niego, oddzielona jedynie cienkim świerkiem, stała rozjuszona ranna niedźwiedzica, on zaś nie miał przy sobie innej broni prócz ostrza włóczni z długim na szerokość dłoni ułomkiem rękojeści; a jednak ogromne napięcie nie umniejszyło pewności jego myśli, ruchów ani zmysłów. Teraz zaś w tej szopie – nie wiedział – byli to strach, co odczuł? W każdym razie był tak zmieszany, iż stracił całą przytomność umysłu.

Wówczas, kiedy po owych łowach na niedźwiedzia siedział w domu, niedbale przyodziany, z ręką na temblaku, płonący od gorączki, z poszarpanym, obolałym ramieniem, odczuwał jedynie zuchwałą radość: mogło się skończyć jeszcze gorzej. Jak? – tym nie głowił się wcale. Teraz jednak musiał o tym ustawić nie myśleć, jakby się to zająście skończyło, gdyby Erlend nie zjawił się na czas z odsieczą. I czuł nie trwogę, ale dziwny ucisk duszy. Pewnie wyraz twarzy tamtych był tego powodem – no, i zwłoki Holmgeira.

Szymon nigdy dotąd jeszcze nie był zabójcą.

...Ów szwedzki rycerz, którego zabił... Wydarzyło się to wówczas, kiedy król Haakon wtargnął ze swym wojskiem do Szwecji, by pomścić wymordowanie książąt. Szymon został wysłany na zwiady z trzema ludźmi, którymi dowodził; był zuchwały i wielce z tego dumny. Przypomniawszy sobie, jak jego miecz utkwiał w stalowym szyszaku rycerza, tak że musiał porządnie targać i szarpać, zanim go oswobodził. Kiedy nazajutrz obejrzał ostrze, odkrył w nim szczerbę. Zawsze z lubością wspominał tę przygodę. Szwedów było ośmiu, wtedy popróbowował przynajmniej, co to znaczy prowadzić wojnę. Nie wszystkim mężom znajdującym się wówczas w królewskiej drużynie było to dane.

Kiedy się zupełnie rozjaśniło, ujrzał, że koszula, którą nosił pod pancerzem, była spryskana krwią i mózgiem i kosztowało go wiele trudu, by wyglądać przyzwoicie i godnie, gdy ją prał.

Nic jednak nie pomogło wspomnienie tego biedaka. Nie, tamta historia nie była podobna do dzisiejszej. Nie mógł się uwolnić od okropnego żalu z powodu zabójstwa Holmgeira.

A na domiar jeszcze i to, że Erlendowi zawdzięczał życie. Nie wiedział, jakie następstwa z tego wynikną, ale miał wrażenie, że teraz, odkąd są skwitowani, wszystko musi się odmienić.

W tym względzie wyrównaliby więc swoje porachunki.

Obaj jechali w milczeniu. Erlend tylko raz się odezwał:

– Głupio było jednak z twojej strony, Szymonie, żeś nie pomyślał przede wszystkim o tym, aby dostać się do drzwi.

– Jak to? – spytał Szymon krótko. – Dlatego, żeś ty był na dworze?

– Nie – w głosie Erlenda zadźwięczał śmiech. – Owszem, dlatego także, ale nie to miałem na myśli. Przez ciasne drzwi mógłby przejść najwyżej jeden człowiek na raz. A zdumiewające jest wprost, jak prędko ludzie odzyskują rozsądek, skoro tylko dostaną się pod gołe niebo. Wydaje mi się nieomal cudem, że tylko jeden stracił życie.

Parę razy pytał też Szymona o jego rany, ale ów odpowiadał, że nie bardzo dają mu się we znaki, chociaż piekły go porządnie.

☞ Przyjechali na Formo późnym wieczorem i Erlend wszedł ze szwagrem do izby. Radził mu zaraz nazajutrz posłać do wójta pismo z doniesieniem o wypadku, aby jak najrychlej otrzymać list żelazny. Erlend chciał natychmiast ułożyć owo pismo, Szymonowi będzie ciężko to zrobić z powodu ran na piersiach.

– A jutro musisz pozostać w łóżu i leżeć spokojnie, na pewno będziesz miał trochę gorączki – dodał.

Ramborga i Arngjerda nie spały jeszcze, obie czekały na Szymona. Usadowiły się dla ciepła na ławie obok komina i nogi podciągnęły pod siebie; między nimi leżała szachownica. Wyglądały jak dwoje dzieci.

Zaledwie Szymon zaczął opowiadać, co zaszło, żona podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Nachyliła jego głowę ku swojej, przytuliła policzek do jego twarzy i ścisnęła tak mocno dłoń Erlenda, że śmiejąc się rzekł, iż nie przypuszczał nigdy, by Ramborga miała taką siłę w rękach.

Za wszelką cenę chciała zatrzymać męża na noc w izbie; sama będzie przy nim czuwać. Z płaczem niemal błagała o to. Potem Erlend ofiarował się pozostać i spać z Szymonem, jeśli pošłą kogoś z wieścią na Jørund. Już i tak za późno jechać do domu: – A szkoda, aby Krystyna na ten ziąb tak długo nie kładła się spać. Ona także czeka zawsze na mnie. Wy, córki Lavransa, jesteście dobrymi gospodyniami.

Kiedy mężczyźni posilali się i pili, Ramborga siedziała przytulona do męża. Szymon głaskał od czasu do czasu jej rękę i ramię, nieco zakłopotany, ale zarazem wzruszony jej miłością i obawą o niego. Szymon sypiał w czasie wielkiego postu w izbie Saemunda i kiedy mężowie się tam udali, Ramborga poszła z nimi i postawiła im wielką konew z miodnym piwem na płytach paleniska.

Izba Saemunda była niewielką komnatą z paleniskiem, ciepłą i zaciszną. Pnie użyte na jej budowę były tak olbrzymie, że cztery zaledwie tworzyły ścianę. Teraz było tu porządnie zimno, lecz Szymon przyrzucił spory pęk szczap na ogień i zagnał psa do łóża, by tam poleżał i zagrzał je. Przyciągnęli do ognia nie ciosany pniak oraz ławę z oparciem i rozsiedli się wygodnie, przemarli bowiem do szpiku kości podczas długiej jazdy, a w wielkiej izbie przy posiłku niezupełnie jeszcze odtajali.

Erlend napisał list w imieniu Szymona. Potem zaczęli się rozbierać. Kiedy Szymon poruszył gwałtownie ramię, rany znowu zaczęły krwawić; Erlend pomógł mu ściągnąć przez głowę kaftan i zzuć trzewiki. Erlend sam powłóczył z lekka zranioną nogą; jest trochę sztywna i wrażliwa po jeździe, mówił, ale to rychło minie. Potem na pół rozebrani usiedli znowu na ławie przy ogniu; w izbie było teraz ciepło i miło, a w konwi pozostało jeszcze sporo piwa.

– Wydaje mi się, że bierzesz sobie tę sprawę zbyt do serca, Szymonie – odezwał się Erlend. Siedzieli przez chwilę w mil-

czeniu spoglądając w ogień. – Świat naprawdę nie poniesie wielkiego uszczerbku przez śmierć tego Holmgeira.

– Sira Mojżesz innego będzie zdania – rzekł cicho Szymon.
– To starowina i zacny proboszcz.

Erlend kiwał poważnie głową.

– Niemilo mieć wroga w takim człowieku, zwłaszcza że to najbliższy sąsiad. A poza tym wiesz przecież, że mam często wiele spraw tam w gminie – dodał Szymon.

– Ach, coś takiego może się przecie łatwo wydarzyć każdemu z nas. Na pewno nałożą ci okup w wysokości dziesięciu do dwunastu marek w złocie. Pewnie, pewnie, z biskupem Halvardem nie ma żartów, gdy spowiada zabójcę, a ojciec młodzieńca jest jednym z jego księży, ale przetrzymasz i to.

Szymon nic nie mówił. Erlend zaczął więc znowu:

– I ja też pewnie będę musiał płacić jakąś grzywnę – uśmiechnął się słabo – a nie posiadam na norweskiej ziemi nic poza tym dworem na Dovre.

– Jak wielki jest dwór Haugen? – zapytał Szymon.

– Nie pamiętam już dobrze, podane jest w dokumentach. Ale ludzie uprawiający tam rolę zbierają zaledwie trochę siana. Nikt nie chce tam mieszkać, domy po prostu walą się. Wiesz przecie, ludziska bają, że moja ciotka i pan Bjørn straszą tam po śmierci.

Wiem zresztą, że za ten dzisiejszy mój czyn otrzymam piękną podziękę od żony. Krystyna miłuje cię tak bardzo, Szymonie, jak gdybyś był jej rodzonym bratem.

Szymon siedzący w cieniu uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie. Cofnął nieco pniak, na którym siedział, i osłaniał oczy przed bijącym żarem. Erlend jednak cieszył się z gorąca jak kot; siedział tuż obok ogniska wcisnąwszy się w kąt ławy, rękę oparł o poręcz, a ranną nogę wyciągnął przed siebie.

– Kiedyś w jesieni tak pięknie o tym mówiła – odezwał się Szymon po chwili; coś jakby drwina zabrzmiała w jego głosie.
– A że jest nam wierną siostrą, okazała dowodnie ubiegłej jesieni, kiedy nasz syn zaniemógł – ciągnął poważnie, ale potem znowu szyderczym tonem dodał: – Teraz, Erlendzie, dotrymaliśmy sobie wzajem wiary, jak przysięgliśmy wówczas, kiedy

złożyliśmy prawicę w rękę Lavransa i ślubowaliśmy po bratersku strzec się wzajemnie.

– Tak – odparł Erlend wzruszony. – I ja, ja również, Szymonie, cieszę się z tego dnia. – Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Potem Erlend jakby badawczo wyciągnął rękę. Szymon ujął ją i palce ich splotły się w twardym uścisku. Cofnęli się i usiedli nieco zakłopotani na swoich miejscach.

Po długim czasie Erlend przełamał milczenie. Dobłą chwilę siedział wsparty brodą na dłoni i wpatrywał się w ogień; teraz tylko od czasu do czasu rozżarzał się mały płomyk i pełgał po zwęglonych bierwionach, które z cichym, łamliwym westchnieniem pękały i rozsypywały się. Wkrótce na palenisku pozostał tylko czarny węgiel i ciemny, spopielał żar.

Erlend rzekł cicho:

– Tak wielkodusznie postąpiłeś wobec mnie, Szymonie Darre, że sądzę, iż niewielu tylko mężów mogłoby się równać z tobą. Ja... ja... nie zapomniałem.

– Zamilcz, Erlendzie, nie wiesz... Tylko Bóg jeden wie – szepnął z udręką i lękiem – o wszystkim, co żyje w myślach człowieka.

– Tak jest – rzekł Erlend równie cicho i poważnie. – Nam wszystkim bardzo potrzeba, aby nas sądził miłosiernie. Ale mąż winien sądzić drugiego męża po czynach. A ja... ja... Bóg niechaj ci wynagrodzi, szwagrze!

Odtąd siedzieli zupełnie cicho nie mając odwagi nawet się poruszyć, aby ich wstyd nie zmiażdżył.

Aż Erlend gwałtownie opuścił rękę na kolano; rozbłysnął nagle gorącym niebieskim migotem kamień w pierścieniu na wskazującym palcu. Szymon wiedział, że pierścień ten dostał Erlend od Krystyny, kiedy go wypuszczono z więzienia.

– Lecz nie zapominaj, Szymonie – powiedział cicho – o tym, co mówi stara prawda: niejednemu przypada w udziale to, co przeznaczone było drugiemu, ale nikomu los drugiego.

Szymon gwałtownym podrzutem podniósł głowę. Krew napływała mu do twarzy, żyły na skroniach nabrzmiały niby węzłaste powrozy.

Erlend przyglądał mu się przez chwilę, potem prędko spuścił oczy. I on się zaczerwienił; dziwnie delikatny, dziewczęcy rumieniec rozlał się pod smagłością cery. Siedział cichy, nieśmiały, zmieszany, z otwartymi nieco dziecinnie ustami.

Szymon podniósł się raptownie, podszedł do łóża.

– Sądzę, że najlepiej ci będzie po stronie zewnętrznej – usiłował mówić spokojnie i obojętnie, ale głos mu drżał.

– Nie, połóż się, jak chcesz – rzekł Erlend bezdźwięcznie. Wstał. – A ogień? – spytał zakłopotany. – Czy mam go nakryć popiołem? – Chwycił pogrzebacz.

– Pośpiesz się i kładź się spać – rzekł Szymon jak poprzednio. Serce tłukło mu się w piersi tak głośno, że prawie mówić nie mógł.

W ciemności wczuł się Erlend bez szmeru jak cień pomiędzy skóry i położył się całkiem na brzegu łóża cicho niby leśny zwierz. Szymonowi zdawało się, że się udusi, gdy poczuł tamtego w swym łóżu.

❧ 6

Co roku na Wielkanoc Szymon wyprawiał wielką biesiadę na Formo dla mieszkańców doliny. Trzeciego dnia po mszy zjeżdżali się sąsiedzi tłumnie na dwór i pozostawali aż do czwartku.

Krystyna nigdy nie lubiła tych biesiad. Im większy wrzask i hałas panował podczas uczty, tym bardziej radzi byli Szymon i Ramborga. Szymon prosił zawsze gości, aby przywozili dzieci, czeladź oraz dzieci czeladzi, słowem, wszystko, co mogło ruszyć się z domu. Pierwszego dnia było jeszcze cicho i spokojnie; jedynie starsi i poważni chłopcy zabierali głos, młodzież przysłuchiwała się, jadła i piła, małe dzieci zaś znajdowały się w innym domostwie. Ale już drugiego dnia pan domu obchodził dwór i zachęcał młodzież i dzieci do picia i zabawy, niebawem też żarty stawały się tak dzikie i zuchwałe, że niewiasty i dziewczuchy kryły się po kątach, cisnęły się do siebie i parskwały śmiechem, każdej chwili gotowe do ucieczki; co zacniejsze gospodynie chroniły się do izby Ramborgi, gdzie matki już poprzednio ułożyły dzieci, wyprowadziwszy je ze zgietku wielkiej izby.

Zabawa, którą mężczyźni najbardziej lubili, polegała na naśladowaniu thingu; odczytywano pozwy, występowano ze skargami i obwieszczano ustawy i wyroki, przy czym jednak przekręcano słowa i mówiono wszystko na opak. Audun syn Torberga odczytał pismo króla Haakona do kupców w Bjørgvinie, określające, ile mogą żądać za męskie skórnie, a ile za przednią skórę na ciżmy niewieście, dalej o rzemieślnikach wyrabiających miecze oraz małe i wielkie tarcze – ale mieszał wyrazy tak, że wynikało z tego tylko śmieszne i dwuznaczne gadanie. Zabawa kończyła się zwykle w ten sposób, że nikt już nie zwracał uwagi na to, co mówił. Krystyna przypominała sobie z czasów dzieciństwa, że ojciec nie znosił nigdy żartów, które przemieniały się w kpiny z Kościoła lub służby Bożej, wiele natomiast miał uciechy, kiedy on sam i jego goście skakali po stołach i ławach wykrzykując przy tym wśród śmiechu najrozmaitsze, bynajmniej nie dworne głupstwa.

Poza tym Szymon lubił najbardziej takie zabawy, podczas których ktoś z zawiązanymi oczyma musiał szukać noża w popiele albo też dwóch ludzi miało ustami wyławiać kawałki miodownika z wielkiej kadzi piwnej. Goście stojący naokoło usiłovali pobudzić ich do śmiechu, tak że piwo tryskało na wszystkie strony. Albo też mieli zębami wydobyć pierścień ze skrzyni z mąką. Nie dziwota, że izba wyglądała wkrótce jak chlew.

Tego roku na Wielkanoc zrobiła się przepiękna wiosenna pogoda. We środę od wczesnego rana słońce grzało mocno i świeciło, zaraz więc po rannym posiłku wylegli wszyscy na dziedziniec. Zamiast jednak owych głupich swawoli i żartów młodzież zaczęła grać w piłkę, strzelać do tarczy i przeciągać linę, potem bawiono się w ślepą babkę; wreszcie nakłoniono Geirmunda z Kruke, aby zaśpiewał i zagrał na harfie, i wtedy wszyscy, starzy i młodzi, puścili się w tany. Na polach leżał jeszcze śnieg, ale olszyna brązowiła się już od rozkwitających pąków, a promienie słoneczne ogrzewały każdy wolny od śniegu szmat ziemi. Kiedy po wieczery wyszli na dwór, w powietrzu unosił się świergot ptaków; rozpalili wielki stos chrustu przed kuźnią, śpiewali i tańczyli do późnej nocy. Nazajutrz goście spalili dłużej; później też niżli zazwyczaj opuścili Formo. Ludzie